

Ameryka w zapaści

Jacek Koronacki

Czy historia *Titanica* może się powtórzyć?

Los rzekomo niezatopialnego *Titanica* został przesądzony, gdy woda zalała dwie przednie komory kadłuba statku i przedostała się do trzeciej. Spowodowany tym przechył statku rozpoczął proces już nieodwracalny – woda musiała zalać całą trzecią komorę, przedostać się do czwartej i tak dalej aż do ostatniej, jedenastej. Ratunku nie było żadnego, masa krytyczna – by użyć porównania z dziedziny reakcji łańcuchowych – została przekroczona na półtorej godziny przed ostatecznym zatonięciem statku.

Dziś, pisze w listopadowym numerze „Chronicles” Chilton Williamson i wtórują mu inni autorzy miesięcznika, powinniśmy być może zacząć żegnać się z Ameryką zalewaną przez imigrantów z trzeciego świata (nota bene, symbol *Titanica* tym bardziej może być tu na miejscu, że ów brytyjski liniowiec z brytyjską załogą był własnością kompanii amerykańskiej). W połowie tego wieku Latynosi oraz obywatele pochodzenia azjatyckiego będą stanowić około jednej trzeciej ludności USA. Najprawdopodobniej już teraz – pisze w „Chronicles” Roger McGrath -- ludność pochodzenia latynoskiego stanowi około 30% mieszkańców Kalifornii. Jest to głównie wynik imigracji nielegalnej (można przypuszczać, że liczba wyłącznie nielegalnych imigrantów z Meksyku oraz ich dzieci wynosi we wspomnianym stanie od 5 do 7 milionów). Skutkiem legalnej i nielegalnej imigracji w ciągu ostatnich 30 lat dramatycznie zmienił się skład narodowościowy Kalifornii. Podczas gdy w roku 1970 biali stanowili około 80% populacji, dziś Amerykanie pochodzenia europejskiego to mniej niż 50% mieszkańców, 11% procent mieszkańców pochodzi z Azji i 6% to amerykańscy Murzyni. W hrabstwie Los Angeles Latynosi stanowią ponad 46% ludności (populacja murzyńska spadła do mniej niż 15%). Jeśliby w Kalifornii utrzymały się aktualne trendy demograficzne, to liczba tamtejszej ludności zwiększyłaby się do roku 2030 do około 50 milionów (z obecnych 34 milionów), przy czym Europejczyków z pochodzenia byłoby w tej liczbie zaledwie 10 milionów.

Pozostając jeszcze przez chwilę w Kalifornii warto za McGrathem zwrócić uwagę na zmiany w szkołach publicznych. W niektórych z nich (nawet niewielu) angielski jest nauczany jako... drugi język, pierwszym jest bowiem język hiszpański. Szkoły takie (i inne, z mniejszą liczbą uczniów latynoskiego pochodzenia) otrzymują miliony dolarów z funduszy federalnych na dodatkowe wynagrodzenia dla nauczycieli, na dodatkowych nauczycieli, psychiatrów, konsultantów itd. *Dla każdego obywatela Kalifornii powinno być oczywiste, że wiele naszych szkół publicznych naucza dzieci Meksyku i, w mniejszym stopniu, dzieci innych krajów Ameryki Środkowej. Zrozumiał to rząd meksykański, który od początku lat dziewięćdziesiątych zaopatruje tysiące szkół kalifornijskich we własne podręczniki, pisane po hiszpańsku i poświęcone meksykańskiej historii i kulturze. [...] Dzieci uczą się nawet meksykańskiego hymnu. [...] Program okazał się takim sukcesem, że obecnie rząd Meksyku stara się wysyłać podręczniki także do szkół w innych stanach.* W znacznej mierze chodzi w tych wszystkich przypadkach, także wówczas gdy mówimy o wydatkach z kieszeni amerykańskiego podatnika, o przybyszy, którzy przebywają w USA nielegalnie lub są dziećmi nielegalnych imigrantów.

Wyniki spisu ludności amerykańskiej w roku ubiegłym – pisze w swoim artykule Williamson -- były jak dzwonek budzika dla klasy politycznej, która wzmogła swoje starania o względy 13 milionów nowych lub potencjalnych wyborców, przybyłych do USA (legalnie lub nie) w ciągu ostatniej dekady XX wieku. W lecie 2000 roku prezydent Bush wystąpił z pomysłem (zarzuconym chyba po zamachu z 11 września) kolejnej amnestii dla nielegalnych imigrantów z Meksyku. W odpowiedzi, przewodniczący demokratycznej większości w Senacie USA, Daschle, oskarżył Busha o karygodny zamiar nierównego traktowania nielegalnych imigrantów z różnych krajów oraz opowiedział się za taką samą amnestią dla wszystkich nieproszonych przybyszów (swoją drogą słabe to pocieszenie, że republikańskie pomysły ciągle lokują się na prawo od ponadnarodowego socjalizmu amerykańskich demokratów).

Słusznie zauważa Willimason, że przyczyny napływu obcych do Ameryki są ekonomiczne, a nie polityczne. Imigranci nie przybywają do USA dlatego, że szanują Amerykanów lub brytyjsko-amerykańskie instytucje polityczne, a dlatego, że zazdroszczą nam naszego bogactwa oraz najmniej dla cywilizowanego człowieka atrakcyjnych aspektów naszego amerykańskiego stylu życia. Nie ma wątpliwości, że absurdalna polityka imigracyjna doprowadziła do pojawienia się w USA takich rzesz proletariatu z krajów cywilizacyjnie odległych, iż tradycyjny ład społeczny kraju został zagrożony. Niemal dwie trzecie dorosłych imigrantów z Meksyku nie ma matury, zaś jedna piąta meksykańskiej młodzieży w USA nie kończy szkoły średniej. W statystykach dotyczących przestępczości w niektórych stanach, Meksykanie skutecznie rywalizują o pierwszeństwo z Murzynami, tak jak meksykańskie gangi młodzieżowe rywalizują z gangami murzyńskimi. Meksykanie wypierają Murzynów z rynku pracy i całych dzielnic miast amerykańskich. Trzeba się przy tym jasno zastrzec, że przyczyną owego stanu nie są jakieś szczególne cechy narodu meksykańskiego, a dopuszczenie do napłynięcia do USA zbyt wielu jego przedstawicieli z warstw najniższych, ludzi nieszczęśliwych i zdesperowanych. (Jeszcze trudniej byłoby uznać biednych Latynosów, którzy nie mogą mieć pojęcia o amerykańskiej czy jakiegokolwiek demokracji, za winnych temu, że politycy – zwłaszcza z Partii Demokratycznej – myślą o tym głównie, jak też się im przypodobać.)

Jak wiadomo, Stany Zjednoczone doświadczają także ogromnego napływu imigrantów z Azji, zwłaszcza z Chin. Podczas gdy chińscy imigranci – pisze Williamson – en masse są lepiej wykształceni i bardziej inteligentni, mają wyższe kwalifikacje niż proletariat meksykański, to w przeciwieństwie do tych ostatnich nie byli naszymi sąsiadami przez wieki, a ich historia nie była związana z naszą. Ze strony Chińczyków możemy obawiać się ich odrębności i z tym związanej grupowej bezwzględności oraz agresji w stopniu grożącym konfliktem z amerykańską większością oraz z dotychczasowymi mniejszościami, zwłaszcza z mniejszością żydowską – mniejszością cieszącą się dotąd największym sukcesem w Ameryce, której tytuł do współczucia za dwa tysiąclecia prześladowań w świecie zachodnim najpewniej nie znajdzie zrozumienia wśród nowej mniejszości azjatyckiej.

Absurdalna polityka imigracyjna jest kontynuowana skutkiem zainteresowania wielkiego biznesu tanią siłą roboczą, skutkiem żalosego stanu umysłów i ducha klasy politycznej oraz środowisk opiniotwórczych, zwłaszcza przedstawicieli mediów. A co na to naród?

Wbrew narodowym mitom, już od końca wojny secesyjnej Amerykanie niechętnie głoszą opinie niezgodne z obowiązującą modą. W ostatnim okresie ideologia politycznej poprawności – wzmocniona niskim poziomem edukacji, intelektualnym lenistwem, zanikiem religijności oraz niewiarą, w końcu nadmiernym dostatkiem – dodatkowo i

decydująco przyczyniła się do utraty zdolności sprzeciwu wobec poglądów mających status oficjalnego consensusu.

Do diabła z ekonomicznym zyskiem, mówią autorzy „Chronicles”, rzecz idzie o Ameryki stabilność cywilizacyjną! Zwolennicy uniwersalizmu, z których niektórzy uważają się za konserwatystów (sic!) twierdzą, że własność prywatna i stojąca nią gospodarka rynkowa, również wolność polityczna, mają za swój fundament „prawa naturalne” i że te z kolei mają charakter uniwersalny oraz oczywisty. Twierdzą – pisze Samuel Francis – że *wszystko co jest potrzebne, by rynek oraz liberalne demokracje kwitły w nieskończoność, to świadomość istnienia owych praw oraz możliwość z nich korzystania, niezakłócona przez żadną władzę polityczną*. Wyznając takie zasady, można do Ameryki sprowadzić wszystkich, którzy tego chcą, bez obawy o przyszłość jej ładu społecznego. Problem w tym jednak oczywiście, podkreśla Francis, że *funkcjonowanie ekonomii rynkowej, porządku konstytucyjnego, a najpierw narodu, wymaga spełnienia pewnych warunków koniecznych, w porządku czasowym wyprzedzających owe instytucje. Warunki te stają się oczywiste z biegiem czasu, zwłaszcza wtedy, gdy ich obecność ulega zakłóceniu, prowadząc do ekonomicznego lub politycznego chaosu*. Francis przypomina, że John Jay wymieniał wśród takich warunków wspólnotę przodków, języka, religii, obyczajów, wspólnotę doświadczeń i historii oraz polityczny consensus. Przypomina też, że (kilka, a nie z górą dwieście lat temu) Peter Brimelow wprowadził kategorię metarynku w ekonomii: prawo do własności prywatnej musi być wpisane w kulturę, musi zatem istnieć jakaś spójność etniczna i kulturalna, by rzeczony prawo mogło funkcjonować i przeto by możliwa była ekonomia wolnorynkowa; zadekretowanie prawa bez oparcia w takiej spójności, nie uczyni ekonomii wolnorynkowej możliwą. I z tych to powodów, dodaje Francis, [...] *Kalifornia przestaje być częścią amerykańskiej kultury, mimo że nadal leży w granicach USA, staje się zaś obszarem kultury latynoskiej*.

Gdzie szukać ratunku?

Dwaj inni autorzy z tego samego numeru „Chronicles”, Thomas Fleming (redaktor naczelny miesięcznika) oraz nieraz już przeze mnie przywoływany Donald Livingston, nie tyle chcą szukać ratunku, co chcą zachować z Ameryki to co jeszcze możliwe, co jeszcze istnieje i co warte jest kultywowania.

Pisze Fleming: *Nasza kultura jest powierzchowna i wulgarna – o narodzie, który czyta Jamesa Michenera i Normana Mailera, trudno powiedzieć, że ma literaturę – ale przecież upieraliśmy się, by nasi uczniowie znali kilka sztuk Szekspira, jedną czy dwie klasyczne angielskie powieści, trochę poezji romantycznej. [...] Wszystko to oczywiście czas już miniony. Fala masowej imigracji [...] umocniła lewicę w jej walce przeciw chrześcijańskiemu ładowi i nie ma już żadnej szansy, by zwykli Amerykanie odzyskali władzę i mogli odwrócić obowiązującą wielokulturowość [...]*.

Nie jest przy tym tak, jak chcieliby uniwersaliści, kontynuuje Fleming. Mrzonką jest pragnienie, aby jedynymi obecnymi jeszcze na ziemi konfliktami etnicznymi były wojny między Nissanem i Daimlerem oraz Pizzą Hut i Taco Bell. Prawdziwe, krwawe wojny etniczne wybuchają nieomal co dzień, zawsze jako rezultat migracji ludności. [...] *Na Bliskim Wschodzie łatwo było przewidzieć, że wybór Ariela Sharona doprowadzi do zaognienia konfliktu między Arabami i ich izraelskimi sąsiadami, najczęściej świeżymi imigrantami lub dziećmi takich imigrantów*. Wcześniej mieliśmy – i nadal mamy – konflikt na Bałkanach,

spowodowany migracją Albańczyków do Serbii i Macedonii. I tak dalej i dalej można by cofać się w czasie przez całą historię Europy czy innych kontynentów.

Historia Ameryki nie była według Fleminga, wbrew utartej opinii, zupełnie odmienna: [...] *naród ten był zdominowany przez konflikty etniczne przez całą swoją historię. Nieraz były to konflikty otwarte, jak w przypadku wojen z Indianami oraz gwałtów na tle rasowym, nieraz były to konflikty ukrywane, jak w przypadku powtarzających się starań o utrzymanie imigrantów katolickich na wyznaczonej im pozycji [na drabinie społecznej]. Nic dziwnego, że obydwie partie polityczne używały napięć etnicznych jako środka budowy najróżniejszych koalicji i utrzymania władzy.* W dobie tzw. rekonstrukcji po wojnie secesyjnej, Partia Republikańska była partią protestanckiej klasy średniej na Północy, na Południu zaś panowała wśród Anglosasów Partia Demokratyczna, która z czasem zaczęła w dawnej Unii być partią mniejszości katolickiej. Później Demokraci wyspecjalizowali się w przyciąganiu imigrantów oraz amerykańskich Murzynów. Takie manewry Demokratów zmusiły białą część Południa do związania swych losów z Partią Republikańską, z nieodwracalną szkodą dla kulturalnej tożsamości tradycyjnego Południa. *W dającej się przewidzieć przyszłości – stwierdza Fleming -- polityczna rywalizacja polegać będzie na ciągłym licytowaniu się obydwu partii, która z nich lepiej dba o interesy meksykańskiej i azjatyckiej mniejszości.* Powiada się też dzisiaj, dodaje Livingston, że *Ameryka nie jest krajem ufundowanym na wspólnej tradycji i związkach z instytucjonalizmem i kulturą brytyjską, lecz krajem zbudowanym na abstrakcyjnej idei praw jednostki, wspólnej wszystkim kulturom.*

Obydwaj autorzy są zgodni – Ameryki jako całości uratować się już nie da. Ale żyją ciągle w Ameryce normalne amerykańskie rodziny, są środowiska, miasteczka, które zachowały swoją tożsamość i które – jak zwykł to nazywać Livingston – wiodą życie zgodne z tym co od pokoleń uważają za wartościowe. To życie rodzinne oraz życie większych wspólnot toczy się obok imperium, którego są obywatelami. Tradycyjne wspólnoty mogą na szczeblu lokalnym utrzymać albo odtworzyć instytucje, które pozwalały im i ich przodkom zachować tożsamość. **Zdaniem obydwu autorów nie ma już sensu zajmowanie się tym, że dziś – w przewróconym do góry nogami świecie amerykańskiego liberalizmu – imigrant jest bardziej amerykański niż ci, których przodkowie karczowali lasy ponad 200 lat temu oraz budowali instytucje nowego kraju. Trzeba stanąć obok tego wszystkiego i trwać w swojej lokalnej wspólnocie.**

Resztki Rzymu upadły ostatecznie 1500 lat temu, pisze Fleming. Ale różne aspekty rzymskiego życia przetrwały, i to nie tylko w zapiskach mnichów. Tradycje cywilizowanego miasta przetrwały w całych Włoszech i kiedy Europa była pogrążona w głębokim kryzysie (mniej więcej w czasie koronacji Karola Wielkiego), Włosi byli już w trakcie budowania nowej i może jeszcze wspanialszej cywilizacji. Kto wie, jaki typ cywilizacji zrodzi się za paręset lat na o ileż mniej imponujących gruzach Ameryki?

Dodaje Livingston: *Oczywiście nie możemy o nic winić imigrantów, którzy po prostu używają imperium [amerykańskiego] do poprawy swego życia [...]. Zamiast płakać nad utratą kraju, powinniśmy przystąpić do budowy instytucji dla kraju, który powstanie. W naszym przypadku nie Katon i nie Cynceron a św. Augustyn i św. Benedykt powinni nam być modelem do naśladowania.*

Nie wiem oczywiście czy Ameryka rzeczywiście jest już skazana, jak twierdzą wszyscy dotąd przywołani autorzy, choć bez wątplenia doświadcza przemian nieodwracalnych i przy tym złych. Na pewno jednak żaden z zacytowanych autorów nie zauważył tego, co w tym samym

numerze „Chronicles” stwierdził Philip Jenkins: *jakkolwiek nie wiemy, czy [latynoscy imigranci] będą za 50 lat głównie katolikami czy zielonoświątkowcami, to z całą pewnością nie będą chodzić do meczetów lub taoistycznych świątyń. Jak i teraz, będą w ogromnej większości chrześcijanami. [...] Te nowe wspólnoty chrześcijańskie są zwykle społecznie mocno konserwatywne. Rzadko przejmują się tradycyjnym amerykańskim staraniem o utrzymanie rozdziału Kościoła i państwa. W roku 2031 [roku pięćsetlecia objawienia się Najświętszej Marii Panny Aztekowi imieniem Juan Diego] najprawdopodobniej będziemy mogli oglądać rzeźby Naszej Pani z Gwadelupy przed wieloma ratuszami miejskimi USA. I skoro Ameryce potrzebne jest odrodzenie religijne, to latynoscy imigranci mogą w dłuższej perspektywie okazać się współtwórcami także pozytywnych przemian cywilizacyjnych za oceanem. Ameryka będzie inna, jej związki z Meksykiem będą inne niż dzisiaj, ale może dzięki zastrzykowi świeżej krwi i na przekór jej obecnej elicie będzie chrześcijańska?*

Jest niestety inną sprawą, że o przyszłości Ameryki decydują dziś nie tylko jej problemy z imigracją, ale w jeszcze większej mierze jej imperializm. Zaś jego losy są kolejną niewiadomą, najlepiej, choć w lapidarnym skrócie, opisaną w poprzednim numerze ARCANÓW przez Thomasa Molnara.